

Warszawa. Miesiące, lata, wieki*

Małgorzata Baranowska

I widzi jakichś jeźdźców w tumanach kurzawy,
I słyszy dźwięk mazurka i tłumu wołanie,
Dąbrowski z ziemi włoskiej wraca do Warszawy.
„Czy warto?” ... Odpowiedział: „Ach! śmieszne pytanie!”

Jan Lechoń, *Przypowieść*

15 stycznia 1940 roku Warszawa dostała list. Adresowany nie do kogoś w mieście, ale „Do miasta stołecznego Warszawy”, pochodził od przebywającej na obczyźnie pisarki, Marii Kuncewiczowej, a wysłany był z Paryża:

„Nigdy nie byłeś dla swoich tak wielka w zygmuntońskiej chwałę, jak teraz jesteś wielka dla obcych w grozie twoich ruin. Europejczycy nie znali ciebie za twoich dni powszednich. Nie znali wdzięku Krzywego Koła, Wąskich Dunajów, rozbrajającej śmieszności drewniaków Grójeckiej i Grochowa, brzoskwiniowych zachodów nad Mariensztatem, zapachu twoich bzów nad parkami Powiśla, tych godzin zmierzchu, kiedy twoje okna wyglądają jak krzyże na świetlanych chustach. Nie znali zuchwałych gołębi z ulicy Wspólnej, wróble oblepiających pierzem i świergotem akacje twoich skwerów w czasie mrozu. Nie znali twoich dzwonów, twoich kolęd, lampek czerwono mrugających przed figurami barokowych świętych, spiczastych kamieniczek, wierzb i kaczęńców nad gliniankami, kóz na podmiejskich wygonach i wielkich gwiazd nad Kopernikiem, kiedy wychodzi się z teatru. Europejczycy nie znali twoich obwarzanków. Ale w dniach twojej krwi i chwały świat poznał twoje dumne serce. [...] Bohaterstwo Warszawy zaraziło narody. Czujesz chyba, Niezmożone Miasto, lęk Berlina przed Tobą. Przed twoimi ranami, przed twoim głodem i przed twoją sławą. Wiesz, że źli śmiertelnie boją się nieśmiertelnych.”

– Do jakiej Warszawy było to pisane?

Mimo że to kilka miesięcy po kapitulacji Warszawy, mimo strasznej, śnieżnej i mroźnej zimy czterdziestego roku, mimo egzekucji Warszawa na różne sposoby przygotowuje się do przetrwania i zwyciężenia okupanta. Przed kapitulacją „psychologiczną” warszawiacy bronią się nadzieją, powtarzanymi piosenkami, muzyką, nawet przepowiedniami. Właśnie wtedy ukazuje się w wydaniu konspiracyjnym zbiorek: *Losy Polski w przepowiedniach: Tęgoborskiej, Mickiewiczowskiej i Cz. Czyńskiego*. Oczywiście znajduje się w nim i urywek z Mickiewicza z III części *Dziadów*. Poeci zawsze towarzyszyli historii tego miasta i ten, który w Warszawie nigdy nie był – Mickiewicz, jest w niej stale obecny.

Nieśmiertelność, o której mówi Kuncewiczowa, nie ogranicza się do chwały obrońców, przechowywana jest przez tradycję. Nawet tytuł pisma, w którym ukazał się list – „Polska Żyje”, na to wskazuje. Warszawa była najsilniejszym w Europie ośrodkiem ruchu oporu i Berlin będzie się jej bał jeszcze wielokrotnie, na co najważniejszy dowód stanowi nieumotywowane żadną wojskową, wojenną koniecznością zrównanie z ziemią miasta po powstaniu warszawskim w 1944 roku.

Kuncewiczowa pisze, że, jak wszyscy na obczyźnie, tęskni za humorem, za uśmiechem Warszawy, za czymś, co nie przenika do komunikatów wojennych ani nie jest zrozumiałe dla nie warszawiaków. Autorka *Dziennika Warszawskiego* i audycji radiowej *Dzień powszedni państwa Kowalskich* z daleka prze-



Pocztówka ze zbioru dra Heinricha Racka

czuwała, że ulica warszawska znalazła dla okupacyjnych realiów własne ironiczne nazwy, że broni się wytrwale. „Sposobem” przekładano ciężkie warunki i ważne wydarzenia na komentarze opatrzone dowcipami. „Sposobem” znajdowano nowe zajęcia umożliwiające utrzymanie. „Sposobem” przerabiano przedmioty, żeby je dostosować do ograniczonych możliwości. Na przykład zaczęto używać rowerowej rikszy osobowej, która zresztą z początku żenowała warszawiaków nie przyzwyczajonych posługiwać się cudzym „nożnym” napędem. Co innego samemu jeździć na rowerze, co innego dać się wieźć. W styczniu roku 1941 ruszyło na miasto parę taksówek z gazogeneratorami, podobno było też kilka taksówek z napędem drzewnym. Ale cóż, to jednak przepełniony tramwaj pozostał prawdziwą „ulicą”, tutaj zachodziły zmiany języka, tu puszczane były w ruch aktualne powiedzonka.

Życie dostosowywano do warunków wojny. Nikt nie przewidywał, że historia Warszawy w drugiej wojnie światowej skończy się marsjańskim, pustym – zamieszkałym jedynie przez „robinsonów warszawskich” – krajobrazem ruin. Profesor Wacław Borowy brał udział w zorganizowanej przez bibliotekarzy i muzealników akcji ratowania książek i dzieł sztuki, pod czujnym okiem Niemców, zamierzających co cenniejsze ocalałe zbiory wysłać do Rzeszy. Trzeciego grudnia 1944 roku znalazł się w kamienicy Baryczków:

„W pewnej chwili przerywamy pracę, żeby wyjść przez sięć domu i spojrzeć na Rynek Starego Miasta. Tak sobie mniej więcej wyobrażałem góry Hoggaru na Saharze. Cały plac poryty lejami od bomb, zasypyany blachą z dachów, cegłą i miazgą tynku. Najlepiej utrzymała się strona między Nowomiejską a Krzywym Kołem: fasady wprawdzie poszczerbione i częściowo ścięte, ale wszystkie stoją; wnętrza zresztą wypalone, dachy zmiecione, gruz sypią się na ulice. Świetny to jeszcze stan wobec strony od Krzywego Koła do Celnej, na której nie ma ani jednej fasady (dom przedostatni tylko wystercza jakimś wysokim dosyć kikutem). Między Dunajem a Zapiekiem stosunkowo mocno się trzymają obydwie fasady Kamienicy Książąt Mazowieckich, choć bardzo pokaleczone, w stanie też jakim takim utrzymały się dwie fasady w środku (jedna

* Fragmenty książki pod tym samym tytułem. Autorce i Wydawcy – Wydawnictwom Dolnośląskim, dziękujemy za zgodę na przedruk.

z fragmentem łuku gotyckiego), obydwie zresztą szczerb pełne i ścięte. Z Fukiera grzyby tylko. W głębi Świętojańskiej czerwieni się oskalpowana boczna ściana kościoła Jezuitów, za nią majaczące jedna z iglic Katedry, nad resztą Świętojańskiej (o ile z oddali sądzić można) panuje przestwór powietrzny”.

Nawet gdy przypominał Saharę, warszawiacy nie zamierzali dobrowolnie opuścić tego krajobrazu, który nakładał im się na inny, dawniejszy, pełny, prawdziwy. Już w parę tygodni później, w początku stycznia 1945 roku, nie czekając na zakończenie działań wojennych, zaczęli powracać. Dlatego też styczeń stał się tak ważnym miesiącem dla Warszawy.

Jakie jest to miasto, do którego odbudowania dążyło tylu ludzi? Co się złożyło na jego życie?

Zaczęliśmy od daty, na której właściwie zakończymy akcję tej książki ułożonej jak kalendarz, według miesięcy, a zawierającej szkic z życia Warszawy: od przeniesienia się tu króla Zygmunta III Wazy w roku 1596 do roku 1945 – do powrotu warszawiaków do zniszczonego miasta.

Dobrze by było objąć jednym rzutem oka te wszystkie lata i zmiany, choćby w jednym, wybranym miesiącu, zobaczyć ulice, budynki, nawarstwiające się tutaj zdarzenia. Skoro to niemożliwe, korzystajmy z cudzych oczu, z dawno utrwalonych widoków i opowieści.

*

Franciszek Salezy Jezierski w haśle Warszawa (*Niektóre wyrazy porządkiem abecednym zebrane*, 1791) pisał:

„Warszawa – miasto stołeczne Księstwa Mazowieckiego i miasto pomieszkania królów polskich; kiedy i od kogo założone, ani pewności, ani wiadomości żadnej mieć nie można; to miasto uważać należy dwojako: raz, ile jest miastem, drugi raz zaś, ile dopiero nim ma być na potem; ile już jest miastem [...]”

Czy to nie dziwne? Jezierski ma wyjaśnić, co to Warszawa, a mówi, że musi być ona rozumiana także jako przyszłe miasto. Na razie – w końcu osiemnastego wieku – wydaje mu się ono ciasne i młode. W stosunku do zasiedzonego i potężnego Krakowa, który jeszcze długo zdaje się odpowiedniejszy na siedzibę króla, rzeczywiście Warszawa może sprawiać takie wrażenie. Autor *Niektórych wyrazów...* świetnie zdawał sobie sprawę, że Warszawa jest w trakcie rozwoju, że to w pewnym sensie miasto przyszłości. I co więcej, podobne wrażenie miało się w jej dziejach wielokrotnie powtarzać.

*

Bolesław Prus, najwspanialszy jej kronikarz, przez ponad trzydzieści lat piszący felietony warszawskie, ulegał oczywiście również magii wyobrażenia sobie pięknej przyszłości, co znaczyło dla niego, pięknej Warszawy. Zwłaszcza początek wieku był dobrą do tego chwilą, płot między polami wieków, jak pisał – rok 1900. W „Kurierze Codziennym” z 14 stycznia 1900 roku przepowiadał, że miasto rozgęści się. Powstaną małe miasteczka wśród ogrodów. Kształty domów miały być wzorowane na grotach, skałach, muszlach, kryształach, kwiatach.

Sielankowe domy wymyślone przez Prusa okazały się już niebawem zwalistymi czynszówkami z ciemnymi podwórkami.

*

Kilku pisarzy odpowiedziało na pytanie „Kalendarza Warszawskiego” z roku 1948 – *Dlaczego właśnie Warszawa?*. Wiech zasłonił się panem Piecykiem, który charakter warszawski dobitnie uwydatnił:

„Owszem, Kraków uważam i szanuję. Miasteczko nie za duże, ale w swoim rodzaju odpowiedzialne. Wszelkie uroczystości i odpusta narodowe najlepiej w Krakowie wychodzą, ale w Warszawie, uważasz pan się żyje...”

Jedną z głównych przyczyn, za które, jak podał, kocha Warszawę, było to, że sobie „podgrymaszać” nie pozwala. „Ani Krakowa, ani Poznania pod krytykę nie biorę, skarz mnie Bóg, ale Warszawa zawsze pierwsza była o wiele się rozchodziło o to, żeby popęd nieprzyjaciół dać albo manto jem spuścić. [...]”

Nie dała sobie podgrymaszać!

Dlatego też może gdzieś indziej są ładniejsze widoczki, lepsze powietrze, wygodniej się żyje, ale ja pasjami lubię Warszawę”.

*

W każdym razie, jeśli nawet gdzie indziej bywa lepsze powietrze, to powietrze Warszawy międzywojennej przesycone jest zapachem bzu.

*A polski bez jak pachniał w maju
W Alejach i w Ogrodzie Saskim,
W koszach na rogu i w tramwaju,
Gdy z Bielan wracał lud warszawski!*

Julian Tuwim, *Kwiaty polskie*

Warszawa międzywojenna nurzała się w bzach. To kwiaty maja, kwiaty miasta, kwiaty miłości.

Oto wiersz Antoniego Słonimskiego *Żal*:

*Gdy cię spotkałem raz pierwszy
Mokre pachniały kasztany.
Zbyt długo mi w oczu patrzałaś –
ogromnie byłem zmieszany.
[...]*

*I tak się jakoś stało,
Że bez tak pachniał – jak bez,
I słowo „pachnieć” pachniało,
I tży były pełne też.*

Często ludzie mający niewiele do czynienia z poezją sądzą, że poeci w swych wierszach umieszczają kwiaty jakiegokolwiek, żeby tylko wzmocnić nastrój. Owszem, wiadomo, róża, fiołek, niezapominajka to kwiaty życzeń imieninowych, miłości, załotów, wierności. A jednak bzy w wierszach poetów warszawskich pojawiają się nie znikąd, a właśnie z Warszawy. A kasztany? One przecież też są dla tego miasta charakterystyczne. Mówi się nawet: kasztany kwitną, najwyższa pora uczyć się do matury. Na naukę już wtedy za późno, ale kasztany z tego powiedzenia są autentyczne. Nigdy by się tak nie mówiło, gdyby nie było tu tych drzew.

*

Ciekawe, że dla Marii Dąbrowskiej kwiatami charakterystycznymi dla Warszawy są fiołki i mimoza.

Trudno się powstrzymać od zdziwienia, że dla kogoś mimoza mogła się stać symbolem miasta północy – Warszawy.

Miała widać Warszawa modę mimozy, którą kupowali tylko niektórzy i modę bzu prawdziwie dla wszystkich.

*

Wiosna w dawnej Warszawie wydaje się przesycona zapachem kwiatów. Ale wszystkie pory roku odznaczają się bezustannym gwarem.

*

Trudno, przynajmniej niektórym, zwiedzać pejzaże nieistniejące. Udajmy się więc raczej śladami rzeczywistych wędrówek. Tym razem podążymy za pewną pensjonarką, która miała właśnie zdawać do szóstej klasy i po raz pierwszy w czerwcu 1904 roku przyjechała z Kalisza do Warszawy. Piętnastoletnia uczennica nazywała się Maria Szumska. Znamy ją jako pisarkę Marię Dąbrowską. W *Warszawie mojej młodości* wspomina tamte, pierwszy raz zobaczone ulice: „Pamiętam gładkość i szerokość chodników, ulice wykładane drewnianą kostką, która mnie zachwycała; czuję zapach tego drewnianego bruku polanego czerwcowym deszczem, słyszę, jak po nim tętnią miękko niezliczone, jak mi się zdawało, kopyta koni. Słyszę cichy szmer pojazdów na gumach. W porównaniu z Kaliszem dużo światła nie wiem już jakich latarni, chyba gazowych, podniecające wrażenie, gdy zapalono je, zanim się jeszcze ściemniło, i gdy potem na chodnikach igrały pod tym światłem cienie liści z drzew, którymi ulice, a w każdym razie Marszałkowska, były wysadzone. Ta gra światła i cieni listnych na wieczornym trotuarze tak mi się złączyła z pierwszym oglądaniem Warszawy, że gdziekolwiek to potem zobaczyłam, zawsze stawała mi w oczach czerwcową Warszawą moich

piętnastu lat. Oszałamiała mnie ogromność i wysokość kamienic, długość – nieskończona dla mnie – Marszałkowskiej ulicy, jej liliowe przed zmierzchem perspektywy, błękitniejące głębie przecznice, a na końcu znany mi z Prusa Ogród Saski z jego mitologicznymi posągami, zapachem kwitnących akacji i wspinała fontanna, samotną w tej jedynej chyba na świecie stolicy dotąd bez wodotrysków. Nawet «studzienne», głębokie warszawskie podwórza nie osądzone były przeze mnie jako brzydkie czy ładne; stanowiły także po prostu cechę wielkiego miasta. Niektóre, zwłaszcza w starych kamieniach, były obszerne i słoneczne, a teraz latem rozlegało się na nich tyle odgłosów gęstemu zaludnieniu właściwych. Tu siekano mięso, a tam rabano drewno; gdzie indziej bito pianę, ówdzie ktoś grał na fortepianie albo coś sobie śpiewał; płakało dziecko albo dziecko się śmiało; jakieś kobiety przekrzykiwały się kłótnie lub coś gadały monotonna. Tu najsilniej rozlegały się okrzyki, którymi obwoływali swoje usługi albo towary wędrowni rzemieślnicy i handlarze. Po społu z rzewną i śpiewną wrzawą ulicy, dolatującą spoza wielkiej bramy, stanowiło to nie znaną mi dotąd muzykę wielkiego miasta, zupełnie inną niż dzisiejsza i dotąd dźwięcząca w moim uchu.

W takim to właśnie podwórzu przy Wspólnej ulicy zatrzymał się z matką u moich stryjostwa Franciszkostwa Szumskich. Tam, siedząc na małym balkoniku czwartego bodaj piętra, patrzyłam w głąb podwórza, wdychałam jego specyficzną «warszawską» woń i słuchałam, jak dźwięczy miasto, a szczególnie czarowały mnie właśnie owe głosy wędrownych rzemieślników i handlarzy, ulicznych muzykantów, ostrzycieli noży, sprzedawców cytryn albo warzyw, piaskarzy, węglarzy (węgiel drzewny do samowara), handlarzy, sklejarzy porcelany i lutników blachy. A każdy śpiewał innym tonem, inne sobie słowa wymyślał, inną do każdego melodię, której nigdy nie zmylił. Wtedy długo potem umiałam naśladować te wszystkie głosy; budziły we mnie jakieś na wpół wesołe, na wpół nostalgiczne uczucia.

Te różnorodne, głosy, a raczej krzyki i śpiewy ulic i podwórek warszawskich, dla mieszkańców tak znane, że już niezauważalne, odzwierciedlały całą mozaikę typów domokrążców, drobnego handlu i rozrywki. Każdy reklamował się, jak umiał. „Piaskuuu, białegooo, wiślanegooo, piaskuuu...” wołali piaskarze. Wiadomo, że każda gospodyni po wyszorowaniu do białego kuchennej podłogi z desek posypywała ją piaskiem. Długo używano także spluwaczek z piaskiem ustawionych w mieszkaniach. „Garnkii, garnkiii, drutuje, reperuje, gaamki...” krzyczeli druciarze. „Orzechy włoskie! Orzechy!” – to przybysze aż z Andrychowa, z Galicji, skąd przywozili wyborne płótna, a przy tym, orzechy, których reklamę wzmacniali grzechocząc nimi w wielkich siatkowych workach. Cebularze obwieszeni warkoczami cebuli i czosnku handlowali i innymi rzeczami: „Cebuli, czosnku, kosałki, sieci!” – wołali. Zaraz się rozlegało: „Sklej-jam – szkło – porcel-janę – fajans!”

Nie trzeba było daleko udawać się po egzotyke. Przychodzili z różnymi drobnymi przedmiotami Chińczycy i Tatarzy, i Arabowie czasem, i oczywiście Rosjanie z lodami.

Zawsze było tu dużo ruchu. Kiedyś beczelni i wygadani latarnicy, którzy na zawołanie oświetlali drogę, posłańcy weterani wielu bojów, mali gazeciarze. Tu i gazeta nie zawsze była potrzebna. Wychodziło się na ulicę i wszystko się słyszało w tych krzykach.

*

1 grudnia 1900 roku w sali ratuszowej Towarzystwo Dobroczynności otworzyło wystawę kart pocztowych ilustrowanych. Wystawiono sześćdziesiąt tysięcy kart. Obejrzało je ponad osiemnaście tysięcy osób. Pokazano trzysta kart z własnoręcznymi rysunkami lub autografami wybitnych osobistości, które specjalnie na kartach pocztowych przysłały. Ogłoszono także konkurs na jednowyrazową „dobrą nazwę”. Nagrodę stanowił, tak modny w owym czasie, album do kart pocztowych.

Prus w swych *Kronikach tygodniowych* w „Kurjerze Codziennym” z 16 grudnia ironicznie napisał: „... nierównie prościej byłoby dać 20 kopiejek na ubogich bez oglądania wystaw, aniżeli kupić za 20 kopiejek bilet na wystawę bodajby

kart pocztowych, zapłacić za dorożkę 25 kopiejek, za rękawiczki rubla, za nowy kapelusz 10 rubli i tak dalej.

Zdaje mi się jednak, że do podobnej reformy obyczajów mamy jeszcze kawał czasu. Kierownicy zaś wydziału dochodów niestałych przy naszym Towarzystwie Dobroczynności będą musieli zrobić niejedną setkę zabawnych i genialnych wynalazków, ażeby po długiej pracy i odrzuceniu kosztów obdarzyć kasę Towarzystwa kilkoma tysiącami rubli”.

Publiczność zwiłała na wystawę wszechpotężna moda na pocztówki, która się wtedy właśnie w Europie rozpowszechniła. Pocztówka, tak młoda, że nie miała jeszcze swej stałej nazwy, ledwie trzydzieści lat wcześniej wcale na pocztę nie wpuszczana, nagle stała się królową pocztu, przedmiotem kolekcji i skarbnicą popularnej wyobraźni. Sfotografowane lub narysowane ważne wydarzenia, znane budowle, sławni ludzie i oczywiście życzenia świąteczne, a także pozdrowienia z uzdrowisk zapełniały tysiące kartoników. Projektanci pocztówek przejawiali nieprawdopodobną pomysłowość. Na pocztówkach fruwały kobiety motyle. Na pocztówkach góry miały ludzkie głowy, koty ruszały oczami i ogonem ze sprężynki, damy miały kołnierze z prawdziwego futerka, prawdziwe włosy i prawie prawdziwe klejnoty ze szkielek. W świecie pocztówkowym nieraz nad miastem unosili się święci Mikołaje i listonosze, by przestać życzenia lub pozdrowienia, czasem torba listonosza otwierała się i z niej wysuwała się cała harmonijka widoków z miasta, którego nazwa widniała na otwieranej klapie torby.

I jak można było znaleźć nazwę dla tych różnorodnych kartoników, mających wówczas jedną stronę całą zastrzeżoną tylko dla adresu, kartek, na których korespondencja widoczna była dla każdego. W parodystycznym wykonaniu Prusa propozycje nadesłane przez publiczność do „Kuriera Warszawskiego” brzmiały:

Nalistek, Oszczędnica,
Kartocha, Dopisnica,
Niedyskretka, Odślonka,
Naguska, Oglądka,
Wczytki przy Zawidkach,
Wreszcie – Łatki przy Gadkach...

Kilkadziesiąt było tych propozycji, wreszcie przyjęła się, jak wiemy, nazwa pocztówka. Prus przedstawiał ją jeszcze jako niezbyt logiczną, bo mogłaby oznaczać także skrzynkę pocztową, znaczek albo urzędniczkę pocztową.

Jeszcze chwilę zatrzymalibyśmy się chętnie na warszawskiej wystawie, zwłaszcza że dziś znów się zrobiły modne pocztówki z przełomu wieków, ale pocztówki można spotkać na całym świecie.

*

Jest coś w Warszawie nie tylko niepowtarzalnego, ale nie do zniszczenia, coś odradzającego się, czego nie mają inne miasta, pozbawione owego niezwykłego geniusza, ducha miejsca, w jaki wierzyli starożytni. Duch wolności, a jednocześnie bezgranicznego przywiązania do tego miasta, duch fantazji, ruchu, duch odwagi i zaradności, walki i niefrasobliwości zarazem, własny, nie do podrobienia duch języka, ostrych powiedzeń, piosenek, dowcipu i liryzmu – mieszanina sprzecznych często cech obdarza Warszawę charakterem, jakiego próżno szukać gdzieś poza nią.

Często mówi się o Warszawie jako o Kartaginie. Ale to nie-dobre porównanie. Kartagina nie miała sił podnieść się z ruin.

Jan Parandowski odpowiadając na ankietę „Kalendarza Warszawskiego” z 1948 roku *Dlaczego właśnie Warszawa* pisał o owej tajemniczej mocy: „Nie miał tej siły Babilon, Niniwa, Kartagina, była ona w Rzymie, w Atenach. Gdy po zruceniu niewoli tureckiej, rozważano, gdzie założyć stolicę niepodległej Grecji, król Otton wskazał Ateny. Wydawało się to absurdem. Ateny – to była garść lepianki, zamieszkałych przez nędzarzy, pod ruinami Akropolu. Lecz król się uparł i zwyciężył. Ateny bowiem, w swej pustce, były czymś więcej niż przestrzenią, na której można rozplanować ulice i wystawić domy. Były hasłem, zaklęciem magicznym, powołującym do życia geniusza tego skrawka spiekłej ziemi.

Taki sam geniusz kształtuje losy Warszawy”.